Tempo studenta Sawickiego

Syn ministra rolnictwa nie zaliczał wykładów, ale weterynarzem został. Bo władze SGGW zmieniły zasady zdawania przedmiotu choroby zakaźne

KRYSTYNA NASZKOWSKA
GRZEGORZ SROCZYŃSKI

Sekwencja zdarzeń na Wydziale Weterynarii warszawskiej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego wyglądała tak: •• Studentowi nie udało się na zaliczeniu semestru osiągnąć wystarczającej liczby punktów, więc musiał semestr powtarzać. •• Podczas powtarzania było jeszcze gorzej, bowiem student nie przystąpił w ogóle do zaliczenia semestru. •• Dziekan, mocno naginając regulamin studiów, bez zawiadomienia profesora odpowiedzialnego za przedmiot, którego student nie zaliczył, powołał specjalną komisję, która uznała, że student jednak zaliczył semestr i zdał końcowy egzamin. •• Student otrzymał dyplom, a ten profesor ma na uczelni problemy.

- Nie wyobrażam sobie takiej sytuacji - mówi dr Andrzej Komorowski, główny lekarz weterynarii kraju w latach 1997-2001. Choroby zakaźne to jeden z czterech głównych przedmiotów na weterynarii, bez wiedzy tu zdobytej nie można być dobrym lekarzem - mówi dr Komorowski.

Niemożliwe? Możliwe, jeśli student ma odpowiednie nazwisko. W tym przypadku nazywa się Sawicki i jest synem ministra rolnictwa.

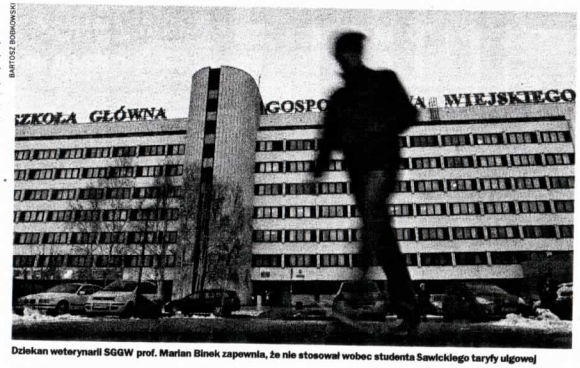

BARTOSZ BOBKOWSKI

Dziekan weterynarii SGGW prof. Marian Binek zapewnia, że nie stosował wobec studenta Sawickiego taryfy ulgowej

Kolokwium bez studenta

Przedmiot choroby zakaźne prowadzi na wydziale weterynarii prof. Tadeusz Frymus. Prowadzi przez trzy semestry: IX, X i XI. Każdy kończy się zaliczeniem, a po XI semestrze jest egzamin. Warunkiem przystąpienia do egzaminu końcowego jest zaliczenie każdego semestru. Taki sposób zaliczania tego przedmiotu obowiązuje od ok. 20 lat i jest zapisany w regulaminie złożonym przez profesora w dziekanacie. Do niedawna nikt tego nie kwestionował.

Przemysław Sawicki nie zaliczył X semestru. Udało mu się zebrać tylko jeden punkt na 40 możliwych. Ale student ma prawo do zdawania kolokwium pisemnego z całości materiału semestralnego. A jeśli obleje, ma prawo do kolokwium poprawkowego. Student Sawicki najpierw przyniósł zwolnienie lekarskie, potem w drugim terminie dostał zero punktów na 15 możliwych, kolokwium poprawkowego też nie zaliczył.

W tej sytuacji każdy student musi powtarzać semestr. Zrobił to student Sawicki. W podobnej sytuacji było 10 studentów.

Ale nagle na uczelni wokół prof. Frymusa zaczęło się robić nerwowo. Prodziekan wydziału ds. dydaktycznych prof. Marcin Bańbura zaczął kwestionować tryb zaliczania tego przedmiotu i zwrócił się pisemnie do prorektor ds. dydaktyki z pytaniem, czy w ogóle prof. Frymus ma prawo zaliczać semestr ze swoich wykładów, skoro obecność na wykładach nie jest obowiązkowa. Obowiązkowe są tylko ćwiczenia, a te zaliczają asystenci.

Student Sawicki w trakcie powtarzania feralnego dla siebie semestru X nie przystąpił do zaliczenia ani jednej kartkówki z wykładów.

W czerwcu 2011 r. na prośbę władz uczelni prof. Frymus przeprowadził kolokwium, które miało być podstawą zaliczenia całego semestru, do którego przystąpiło 9 studentów. Student Sawicki nie zgłosił się ani w terminie zwykłym, ani w poprawkowym.

Pytanie dlaczego? Być może już wtedy wiedział, że jest to zbędne, bo władze uczelni wymyśliły lepszy sposób na zaliczenie mu studiów.

Oto nagle bez powiadomienia odpowiedzialnego za prowadzenie przedmiotu prof. Frymusa zwołano komisję egzaminacyjną i student Sawicki zdał egzamin komisyjny z tego przedmiotu.

Zgodnie z regulaminem studiów SGGW, zatwierdzonym przez Senat tej uczelni, egzamin komisyjny jest egzaminem ostatniej szansy. Przysługuje w „szczególnych okolicznościach", kiedy student obleje egzamin w terminie zwykłym i poprawkowym. Na egzaminie musi być obecna osoba odpowiedzialna za przedmiot, z którego student zdaje egzamin, a tryb i przebieg egzaminu muszą być z nią uzgodnione. Regulamin studiów nie przewiduje „komisyjnego zaliczania" semestru.

W tym przypadku władze wydziału pogwałciły wszystkie te zasady.

Student Sawicki dostał trzecią szansę, choć nie skorzystał z żadnej poprzedniej. Nie oblał egzaminu w żadnym terminie, bo po prostu do niego nie przystąpił. Do składu komisji egzaminacyjnej nie zaproszono prof. Frymusa - dowiedział się o nim post factum od studentów. Do egzaminu przystąpić można po zaliczeniu wszystkich trzech semestrów, a student Sawicki nadal miał niezaliczony semestr X.

Nazwisko to obciążenie?

O powołaniu komisji egzaminacyjnej zdecydował prof. Marian Binek, dziekan wydziału: - Zapewniam, że wszystko było w porządku. I nie chodziło o nazwisko Sawicki.

- To o co?

- Po prostu mieliśmy kłopot z grupą studentów, którzy nie zaliczyli zajęć u prof. Frymusa. Nie mogli powtarzać roku, bo zmieniły się programy. Profil, który studiowali, został zakończony. Podjąłem decyzję, żeby dać studentom ostatnią szansę.

- Dlaczego do komisji nie zaprosiliście prof. Frymusa?

- Nie odpowiem. To są sprawy między władzami uczelni a nim.

- To niezgodne z waszymi wewnętrznymi przepisami.

- Nieprawda.

- Według regulaminu „w skład komisji wchodzi osoba odpowiedzialna za przedmiot".

- Tak. Ale zaraz dalej jest punkt, że w sytuacjach, które tego wymagają, dziekan wydziału ma prawo powołać innego egzaminatora. Nie było w tej sprawie nacisków. To wyłącznie moja decyzja.

Syn ministra rolnictwa Przemysław Sawicki twierdzi, że prof. Frymus mnożył zaliczenia. - Ustalił własny regulamin, który był niezgodny z regulaminem uczelni - mówi. - W regulaminie uczelni napisane jest, że jeśli przedmiot składa się z wykładów i ćwiczeń, to warunkiem przystąpienia do egzaminu jest zaliczenie ćwiczeń. A profesor robił dodatkowe kartkówki z wykładów i od ich wyniku uzależniał możliwość zaliczania ćwiczeń, a co za tym idzie - dopuszczenia do egzaminu. Postanowiłem się temu sprzeciwić, bojkotując te kartkówki. I pisałem do władz uczelni, że proszę o traktowanie zgodne z regulaminem. Zresztą była nas większa grupa, na początku około 20 osób.

- A nie lepiej się nauczyć i zdać?

- Uczyłem się, ćwiczenia zaliczałem. Ale nie było powodu, żeby ten sam materiał zaliczać na kartkówkach, a potem na egzaminie, dodajmy - u tego samego profesora. W końcu władze uczelni zgodziły się na egzamin pod warunkiem „uzupełnienia zaległości", czyli zaliczenia wykładów, co ostatecznie zrobiłem przed komisją, w której nie było już prof. Frymusa.

- Nazwisko Sawicki pomogło?

- Nie. To nazwisko jest raczej obciążeniem. Cały czas czuję, że jako „synek ministra" jestem na cenzurowanym.

Z SGGW do bezpieczeństwa żywności

Tymczasem na wydziale weterynarii o Sawickim i jego egzaminie mówią niemal wszyscy. Studenci wiedzą, że zaliczył, choć nie zaliczył, większość podejrzewa, że to prof. Frymus „ugiął się dla dobra wydziału". - To przykre, bo to jeden z tych wykładowców, których naprawdę się tu szanuje. Zasadniczy, ale sprawiedliwy. A tu taka historia - mówi nam student V roku.

Była studentka weterynarii: - Nie wierzę, by Frymus zrobił coś takiego. To do niego nie pasuje. Prędzej uwierzę, że to się odbyło bez jego wiedzy.

Absolwenci weterynarii w różnych ankietach (np. Agrokadry) wielokrotnie wymieniali prof. Frymusa w gronie najlepszych wykładowców. A były już rektor SGGW prof. Kluciński wskazał jako najlepszego, zdaniem studentów, nauczyciela na weterynarii.

Rozmawiamy z jednym z asystentów na SGGW: - Co się mówi na uczelni? No, że szarą eminencją wydziału jest inny wykładowca dr Zdzisław Gajewski, który ma powiązania z ministrem Sawickim.

Jakie? Do grudnia 2011 r. Gajewski był szefem rady nadzorczej Agencji Nieruchomości Rolnych. Funkcję tę objął w marcu 2008 r., wkrótce po tym, gdy Marek Sawicki został ministrem rolnictwa w rządzie PO-PSL. Pełnił ją z dwumiesięczną przerwą do grudnia 2011 r. i zarabiał tu miesięcznie ok. 7 tys. zł. Szefa rady nadzorczej powołuje minister rolnictwa.

Niestety, 3 grudnia weszła w życie znowelizowana ustawa o gospodarowaniu nieruchomościami rolnymi skarbu państwa, która zlikwidowała radę nadzorczą w ANR.

Ale na weterynarii spekulują, że teraz Gajewski zostanie nawet wiceministrem rolnictwa, co się wydaje o tyle możliwe, że Sawicki ma trzech zastępców, a w poprzedniej kadencji miał ich czterech.

Za to o prodziekanie Bańburze mówi się, że może zostać nadinspektorem ds. bezpieczeństwa żywności. Teraz jest tak, że mamy w kraju cztery różne inspekcje nadzorujące to bezpieczeństwo. Inspekcja jakości handlowej, weterynaryjna oraz ochrony roślin i nasiennictwa podlegają ministrowi rolnictwa, zaś inspekcja sanitarna podlega ministrowi zdrowia. Już w poprzedniej kadencji min. Sawicki usiłował połączyć te cztery inspekcje w jedną, ale projekt nie przeszedł. Teraz zapowiedział, że połączenie trzech podległych mu inspekcji będzie jedną z ważniejszych reform, jakie przeprowadzi w tej kadencji. Na czele takiej wielkiej inspekcji ds. bezpieczeństwa żywności mógłby stanąć dr hab. Bańbura.

Zdobyłem, bo się sprężyłem

Co dalej ze studentem Sawickim?

Zwykle student po uzyskaniu dyplomu udaje się do izby lekarsko-weterynaryjnej po zgodę na wykonywanie zawodu. Izba zwołuje radę, a ta podejmuje uchwałę o nadaniu danemu lekarzowi prawa do wykonywania zawodu. Potem z tym kwitem lekarz udaje się do lekarza powiatowego, a ten kieruje go na staż do jakiejś rzeźni. Staż trwa trzy miesiące albo 200 godzin (zależy, jakie przepisy tu zastosujemy) i jest bezpłatny. Jest zwyczajem naszych lekarzy powiatowych, że nie uznają tu przepisów unijnych, wedle których staż może trwać 200 godzin, i kierują świeżo upieczonych lekarzy na trzymiesięczne szkolenia. Tymczasem Przemysław Sawicki, który 22 listopada 2011 r. zdał wreszcie egzamin z chorób zakaźnych, od 1 stycznia tego roku pracuje jako lekarz w Sokołowie Podlaskim (i chwali się kolegom, że zarabia 12 tys. zł miesięcznie).

Możliwe? Czemu nie, skoro prezesem Mazowieckiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej, która wydała mu kwit uprawniający do zawodu, jest dr hab. Krzysztof Anusz, który był członkiem tej nadzwyczajnej komisji, która zaliczyła studentowi Sawickiemu choroby zakaźne.

Przemysław Sawicki: - Zgodę na wykonywanie zawodu dostałem szybko, bo sprężyłem się z zebraniem wymaganych dokumentów. Izba lekarsko-weterynaryjna zebrała się w drugiej połowie grudnia i zostałem formalnie weterynarzem.

- A staż?

- Wymaganą trzymiesięczną praktykę odbyłem wcześniej, w wakacje, jeszcze przed zakończeniem studiów.

Jeden z powiatowych lekarzy weterynarii, który prosi o anonimowość: - To jakieś olimpijskie tempo, bez pomocy jakiegoś „wujka" to jest niemożliwe.

R E K L A M A